

**XII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej**  
**Kozienski Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka - KOZIENICE 2014**  
**Sebastian Biesiadecki - kategoria młodzież - proza - wyróżnienie**

UPADEK

Dzień I: Jezus na śmierć skazany.

Drewniane drzwi otworzyły się z łoskotem. Dwójka uzbrojonych strażników wniosła do celi sześćdziesięcioletniego mężczyznę, ubranego w szkarłatny strój. Starzec był osłabiony i wyziębiony, nie mógł ustać na nogach o własnych siłach. Strażnicy z nieskrywaną satysfakcją patrzyli, jak wiezień upada z jękiem na podłogę, potracając przy tym garnek z uryną.

- Ty synu suki! Rozlałeś swoją kolację!

Strażnicy wybuchnęli gromkim śmiechem. Wspólnie wymierzili wijącemu się z bólu starcowi ciosy butem, obrzucając go równocześnie kolejnymi wyzwiskami. Oprawcy widząc, że ich ofiara przestaje się ruszać, pośpiesznie opuścili celę.

Brzuch starca przeszywał ostry ból, który zamiast słabnąć, stawał się coraz mocniejszy. Poczul silne mdłości i zwymiotował na kamienną posadzkę. Ból osłabł. Dopiero teraz uderzył go zapach kilkudniowego moczu, którym oblepione były jego ręce. Z trudem powstrzymał się od kolejnych napadów mdłości. Wstał z klęczek, podtrzymując się spróchniałego krzesła. Z ulgą oparł się o lodowatą ścianę i wyszeptał:

- Boże, spraw, by te męki nie były mi zapomniane w obliczu śmierci, a tych złoczyńców skaż na wieczne i niekończące się cierpienia w piekle.

Chłód kamieni działał znieczulająco na jego obolałe mięśnie. Przez moment wydawało mu się, że nic go już nie boli, nie czuł wszechobecnego odoru, strachu. Ale to nie trwało długo... Rozległy się odłgosey szybkich, pewnych kroków. To byli oni.

Przywitali starca uśmiechami, które przez ich poorane bruzdami twarze wyglądały jak obyrzydliwe grymasy.

- O, popatrz! Nasza ptaszyna już się ocknęła i stoi na nogach. Niepotrzebnie szliśmy taki kawał drogi po wodę do tej pieprzonej studni. Ale skoro już jest, to nie można dać się jej zmarnować

Strażnik z wiadrem zbliżył się do swojej ofiary i jednym płynym ruchem wylał na nią całą jego zawartość.

Nieszczęśnik zadygotał. Woda była lodowata. Nie mógł złapać oddechu. Czuł, że zaczyna tracić kontrolę nad swoim ciałem. Strażnicy zareagowali natychmiast. Nie pozwolili mu upaść na podłogę, tylko z obu stron chwycili pod pachy i posadzili na krześle.

- Boże ukarż ich za... – urwał, gdy potężny cios spadł na jego twarz.

Potem następny i następny. Bili na zmianę, nie przestawali. Jeden przytrzymał jego i krzesło, a drugi go katował. Poźniej się zmieniali. Starzec czuł, jak jak jego zęby kaleczą język. Potem był już tylko metaliczny smak krwi. Nie nadażał z jej wypluwaniem... Zaczął się dusić.

Wiedział, że umrze, ale nigdy nie przypuszczał, że król wybierze dla niego tak okrutną śmierć. Liczył na topór katowski - egzekucję godną dostojników, którzy popadli w niełaskę królestwa. A on do takich przecież ciągle należy.

Jego oprawcy znowu postanowili się zamienić - jeden narzekał, że ręka zaczyna mu puchnąć. Zrobili to sprawnie. Po chwili potężny cios wbił się w pulchną twarz starca. Ten bił

mocniej, dużo mocniej. Niespodziewanie wykonał tylko trzy uderzenia i przestał, wtedy też rozległ się głos, męski basowy głos.

Starzec nie dostrzegł nieznanego przez opuchnięte powieki. Może to ratunek! Król zmienił zdanie i on wrócił do jego łask, pomyślał.

Obcy mężczyzna podszedł do niego. Delikatnie złapał go za tył głowy i przystawił do nosa chustę namoczoną w jakieś substancji.

Do jego nozdrzy wdarł się ostry, duszący zapach. Próbował protestować, ale był za słaby. Trucizna zadziałała, stracił przytomność.

### Dzień III: Pierwszy upadek Jezusa Chrytusa

Starzec siedział na środku celi. Nie miała okna, dlatego jego wzrok skupiony był na jednej ze ścian. Ciągle czuł ból. Opatrunki i pomoc lekarza, który opatrzył go zaraz po tym, jak odzyskał przytomność, niewiele pomogły. Skrzywił się. Przez jego brzuch przeszła kolejna fala łamiącego go w pół bólu. Twarz, a raczej to, co z niej zostało, pokryta była szwami, świeżo gojące się rany swędziały tak mocno, że nie mógł spokojnie wysiedzieć na jednym miejscu.

Ten nieznamy mężczyzna uratował go, nie miał co do tego wątpliwości. Starzec nie spotkał już swoich oprawców, zastąpiła ich dwójka nowych strażników. Jednak nie potrafił pozbyć się wizji, w której ci bandyci powrócą, by dokończyć swojego dzieła, i zakatują go jak bezdomnego psa. Chociaż teraz bezdomny kundel zajmował wyższe miejsce w hierarchii niż on.

Uśmiechnął się sardonicznie.

On, Thomas Wolsey - arcybiskup Yorku, lord kanclerz, kardynał, faworyt konklawe, zaraz po królu najpotężniejsza osoba w kraju, człowiek, o którego względy zabiegali najpotężniejsi władcy Europy. Stał niżej w hierarchii od bezdomnego psa!

Z trudem wstał z podłogi. Nie miał już na sobie swojej szkarłatnej szaty, służyła mu teraz jako posłanie. Zrobił kilka kroków i z trudem opadł na podłogę, słysząc, jak jego starcze kości trzeszczą pod naporem obfitej tuszy.

Robił wszystko, byle tylko nie zadręczać się swoimi myślami i obawami. Liczył, z ilu ociosanych kamieni zbudowana jest każda ze ścian, liczył ich powierzchwnie, a później starał się je zapamiętać. Mimo to nie potrafił odeprzeć strachu, którego mroczne szpony zaciskały się coraz mocniej wokół jego umysłu.

Martwił się o swoją rodzinę. O syna, o córkę, no i o nią, Joan - swoją kobietę. Czy nie im nie jest? Czy mają co jeść, gdzie spać? – te pytania nie dawały mu spokoju.

Wiedział, że umrze, nie miał co do tego wątpliwości. Tylko przez cały ten czas zastanawiał się, kiedy ta chwila nadejdzie, w jaki sposób król postanowi pozbawić go życia. Bał się śmierci. Nie był na nią gotowy. Z nerwów zaczął obgryzać skórki wokół paznokci, nie zwracając uwagi, że kaleczy sam siebie. Nie przeszkadzał mu ból nowootwieranych ran, nie potrafił i nie chciał tego zatrzymać.

Przy drzwiach pojawiła się nieznamy postać. Wolsey nie rozpoznał schowanej pod kapturem twarzy. Ruszył w stronę nieznanego. To ten człowiek, który uratował go przed dwójką oprawców, nie miał co do tego wątpliwości. Mężczyzna w kapturze pośpiesznie przeszedł przez próg drzwi i położył na podłodze kupkę ubrań. Wolsey nie zdążył wykonać najmniejszego ruchu - jego wybawiciel szybko opuścił celę, nie dając mu szansy rozpoznania, kim jest.

Starzec pochylił się nad tym, co przyniósł nieznajomy. Znalazł w niej świeżą bieliznę (bardzo mu jej brakowało), koszulę, grube spodnie i kopertę. Natychmiast ją otworzył. Była w niej złożona na pół kartka z napisem:

„Sznur, hak i krzesło“

Kardynała przeszły zimne dreszcze, zrozumiał. Ten człowiek chce, żebym się zabił – pomyślał.

Cela, w której przebywał, przez wiele lat wykorzystywana była jako sala tortur. Do sufitu przymocowany był mocny stalowy hak, używany w różnorodny sposób przez więziennych katów. Starzec wyplątał długi sznur ze swojej szaty kardynalskiej, będący nieodłącznym elementem jego stroju. Ustawił krzesło dokładnie pod hakiem i przygotował węzeł, tak, aby zacisnął się w morderczym uścisku na jego szyi. Drugi koniec sznura przymocował do krat drzwi. Wszystko było gotowe.

Zdawał sobie sprawę, że samobójstwo jest grzechem śmiertelnym. Jego popełnienie równało się ze skazaniem własnej duszy na wieczne cierpienia w piekle. Nie bał się, był zdeterminowany, jak przez całe życie. Wdrapał się na krzesło i przełożył przez głowę węzeł, który delikatnie opadł na jego ramiona. Czuł, jak adrenalina napływa do jego krwi, zacisnął sznur wokół szyi. Jego chropowata powierzchnia delikatnie wbiła się w skórę. I wtedy coś w nim pękło...

Nieraz był świadkiem egzekucji przez powieszenie. Widział nieszczęśników wijących się jak opętani, próbujących znaleźć oparcie dla swych stóp, ich twarze pokryte nabrzmiałymi żyłami, odgłosy krztuszenia i duszenia się. Nie martwił się o swoją duszę (dla niej i tak nie widział nadziei), ale o to, czy śmierć boli? Jak długo będzie trwała? Czuł, jak determinacja go opuszcza.

- Musisz być siłny – dodał sobie otuchy – Pamiętaj, że ta dwójka oprawców może jeszcze wrócić.

Pomogło. Zrobił nie pewny krok ku krawędzi krzesła. Jeszcze tylko jeden mały kroczek i zakończy swoje życie. Serce biło mu jak oszalałe, klatka piersiowa nie przestawała falować. Wiedział, że jeżeli teraz tego nie robi, to już nigdy się nie odważy. Jeden mały kroczek i skończy się moje cierpienie, nic nie będzie mi groziło, bolało... - zachęcał się w myślach. - Jeden kroczek.

Stopa starca powędrowała poza krawędź stołu, i... Kardynał wybuchnął płaczem:

- Nie potrafię! Nie chcę i nie potrafię się zabić! Boże...

Kolejne spazmy płaczu przerywały modlitwy Wolsey'a do Chrystusa z prośbą o pomoc. Nie umarł, żył, ale nie cieszył się. Znowu musiał mierzyć się ze strachem, który działał jak powolna trucizna.

## Dzień VII: Drugi upadek Chrystusa

Strażnik wniósł do celi strawę. Jak zawsze była nieświeża, zimna, lekko podgnita. Ale dzisiaj było coś nowego – nóż. Kardynał wziął go do ręki. Był ostry. Wystarczająco ostry, by...

Z trudem przełknął ślinę, niewidzialna kula utknęła mu w gardle. Wiedział, że to może być jedyna sposobność. Strażnicy najprawdopodobniej popełnili błąd, dając mu do posiłku nóż zamiast widelca. Musiał to wykorzystać, taka okazja może się już nie powtórzyć. Złapał nóż i przystawił go do gardła. Nie myślał o niczym, bo wiedział, że gdy zacznie to robić, znowu stchórzy. Krawędź noża dotknęła jego nieogolonej skóry. Delikatnie wbiła się w nią. Czuł, jak ciepła ciecz spływa po klindze i skapuje na jego tors. Nie bolało, przynajmniej na razie.

Jeszcze tylko kilka centymetrów i czubek klingi przetnie krtań, i będzie po wszystkim. Nareszcie... Jedno energiczne pchnięcie.

Zaczął marzyć, gdzie znajdzie się po śmierci. Może piekło nie istnieje i wszyscy idą do miejsca, w którym najbardziej pragną żyć. Wiedział, gdzie chciałby mieszkać przez całą wieczność – w swojej rezydencji Hampton Court, razem z Joan i dziećmi. Szczęśliwi, bezpieczni, cieszący się każdym dniem. Jak zwykli rodzice doglądający swoich pociech, ich postępów w nauce trudnej łaciny, przeżywających ich kolejne sukcesy i porażki. Przez cały czas zakochani, jak wtedy, gdy pierwszy raz się poznali, pewni, że następny dzień nie będzie ich ostatnim.

Kardynał otworzył oczy, znowu był w celi.

- Joan... moja ukochana Joan – jęknął. Do oczu napłynęły mu słone łzy.

Jego głowę zalały tysiące wspomnień związanych z żoną. Tak - z żoną. Nigdy nie lubiał określenia „kochanka“ czy „nałożnica“. Wiedział, że powinien żyć w celibacie, ale Joan była jego żoną i koniec. Oboje byli sobie wierni, nie zdradzali się, byli dla siebie oparciem, spłodzili dwójkę zdrowych dzieci i razem je wychowali. Byli dla siebie wszystkim... Przypomniały mu się czasy, kiedy oboje młodzi i zakochani po uszy, chowali się przed oczami wścibskich ludzi. Ukrywając swoją wielką miłość, która dla innych była wypaczeniem, owocem grzechu, a dla nich wszystkim. Kardynał zanurzył się we wspomnieniach wspólnie spędzonych nocy, kiedy zatapiał się w jej piękne, pełne ciało, a ona wydawała z siebie dźwięki, po których nawet teraz przechodziły go ciarki podniecenia. Dzieliło ich dwadzieścia lat, ona była młodsza. Jednak Joan nigdy nie mówiła, że jej to przeszkadza. Nawzajem cieszyli się swoimi ciałami i duszami. Byli jednością, a kardynał teraz chciał ją zniszczyć

- Joan. Moja kochana, rudowłosa Joan. – Nóż wypadł mu z ręki.

#### Dzień XIV: Pan Jezus umiera na krzyżu

Mijał czternasty dzień uwięzienia Wolseya w ponurej, mrocznej celi. Kardynał coraz bardziej zatapiał się w swoich żalach, obawach i strachu. Najlepszym dowodem na to były jego obdarte ze skóry palce, które w trakcie niekontrolowanych napadów strachu kaleczył zębami coraz głębiej i dotkliwiej. Modlitwa nie pomagała, jego anioł stróż nie reagował, Bóg bezczynnie przyglądał się powolnemu upadkowi swojej owieczki. Kardynał wyzbył się nadziei, że ktoś go uwolni, nie wierzył w to i nie chciał już uwierzyć.

Przez ostanie dni do rozpacz doprowadzało go szczególnie jedna rzecz – żal. Żal do króla Henryka. To właśnie temu człowiekowi Wolsey oddał całe swoje dorosłe życie, to on ratował go przed różnymi spiskami, to on odwalał za niego brudną robotę, czyli, *de facto*, sam rządził krajem przez tyle lat. Kiedy kardynał po nocach harował jak wół, dla chwały króla i królestwa, on sypiał z coraz to innymi dziwkami, aż trafił na nią - największą z kurew (jak nazywana była przez Anglików) – Anne Boleyn. To ta labiryndra omatała króla wokół palca i sprawiła, że Henryk odwrócił się od niego i skazał na takie cierpienia. Ale jak mógł zapomnieć tak szybko o wszystkim, co dla niego zrobił przez tyle lat?

Rozległy się odgłosy kroków. Nie należały one do żadnego ze strażników. Wolsey poczuł dreszczyk podniecenia i na nowo kielkująca w nim nadzieje.

W drzwiach pojawiła się ta sama postać w kapturze. Jak ostatnim razem położyła coś na podłodze i natychmiast opuściła celę. Nie reagowała na krzyki i wołania Wolsey'a.

Ostrożnie pochylił się nad małą szkatułą, którą nieznajomy zostawił na posadzce. W środku była identyczna złożona na pół kartka, otworzył ją:

1. *Joan Larke nie żyje.*
2. *Król pod wpływem Howardów na czele z Anne Boleyn przygotowuje proces przeciwko Wam. Macie w nim być torturowani i uznani winnymi zdrady stanu i skazani na śmierć.*
3. *Jego Eminencjo, samobójstwo to teraz jedyne rozwiązanie jakie Wam pozostało, będę opiekował się Waszymi dziećmi jak swoimi, Sami im już nie pomożecie, a możecie tylko zaszkodzić*

*Zawsze wierny,  
Thomas Cromwell*

Kartka wypadła mu z ręki. Nie miał wątpliwości. Ten list został napisany przez jego sekretarza – Thomasa Cromwella. Tylko on w ten sposób redaguje wiadomości. Tylko on używa zwrotu „zawsze wierny“. Cromwell był jedną z niewielu osób, którym ufał. Wszystko, co przed chwilą przeczytał, było prawdą. Joan Larke nie żyje, j e g o Joan nie żyje.

Wolsey wyciągnął ze szkatuły małą, czarną fiołkę.

- Joan, kochanie, idę do ciebie! – zagrział łamiącym się głosem.

Włożył fiołkę między usta i przechylił do góry. Przezroczysta substancja wpłynęła do jego gardła. Czuł, jak drobne krople wgnębiają się w ciało, pozostawiając za sobą tylko zgliszcza. Życie uchodziło z niego z każdym kaszlnięciem świeżej, rubinowej krwi. Trucizna sięgała coraz głębiej, nie zatrzymywała się. Nie mógł już zmienić decyzji, nie mógł i nie chciał. Joan też by tak postąpiła, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Odrętwiała runął na podłogę.

Krew coraz szybciej wypływała z jego na wpół żywego ciała. Ból był coraz silniejszy, ale kardynał już go nie czuł.

Już prawie tam jest. Tam, gdzie czeka na niego Joan. Uśmiechnięta i szczęśliwa - taką ją pamiętał. Dogląda ich dzieci bawiących się w parku. Są bezpieczni. Nie grożą im już ani jego wrogowie, ani rozkapryszony król. A on może powiedzieć całemu światu, że to jego pociechy, a ta piękna kobieta jest jego wybranką.

Kardynał zamknął oczy.